

Czapliński, Marek

"Od ekspansji do dominacji. Próba teorii kolonializmu", Jan Kieniewicz, Warszawa 1986 : [recenzja]

Przegląd Historyczny 78/4, 773-777

1987

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

Jan Kieniewicz, *Od ekspansji do dominacji. Próba teorii kolonializmu*, Czytelnik, Warszawa 1986, seria: *Wielkie problemy dziejów człowieka*, s. 303.

Najnowsza książka Jana Kieniewicza mimo kolorowej, zachęcającej obwoluty i świetnie opisanych ilustracji należy do dzieł trudnych. Trzeba ją zaliczyć do tych nielicznych dzieł historyków polskich które próbują tworzyć modele wyjaśniające formacje ekonomiczne, zjawiska z dziedziny ruchów społecznych, politycznych czy kulturowych. Wiadomo, że pokaźna część naszych kolegów po piórze uważa, że jest to wychodzenie poza właściwe zadanie historyka, który powinien bardziej trzymać się ziemi. Tej grupie badaczy Jan Kieniewicz naraził się dodatkowo wprowadzając do swego studium podejście systemowe i język teorii systemów, używany powszechnie w cybernetyce, ale rzadko w naukach humanistycznych.

Niżej podpisany nie ma jednak za złe autorowi, że poszedł tą drogą. Co więcej, temat kolonializmu podjęty przez Kieniewicza wydaje mu się tak ciekawym fenomenem dziejów, że każdy sposób podejścia, który służy jego wyjaśnieniu, uznaje za uprawomocniony. Inna sprawa, to czy Kieniewicz zrobił wszystko, aby jego system był w pełni zrozumiały, a jego teoria przekonała czytelnika.

Określenie „podejście systemowe” wydaje się tym bardziej uzasadnione, że Kieniewicz na podstawie bardzo szerokiej wiedzy i głębokich przemyśleń podjął próbę stworzenia możliwie kompletnego systemu teoretycznego wyjaśniającego zjawisko kolonializmu. System ten jest w zasadzie budowany z godną podziwu systematycznością, rzadko spotykaną w polskich pracach historycznych precyzją i oszczędnością słowa, a także nietłatwo dającą się odrzucić logiką wywodzenia zarówno wniosków cząstkowych, jak i wniosku ostatecznego. Logika autora jest nieubłagana i jeśli czytelnik godzi się na podane przez Kieniewicza założenia, musi prawie uznać za prawdziwe również jego wnioski. Z tego punktu widzenia eksperyment autora należy uznać za w pełni udany.

Dodatkowo zainteresowanie pozycją Kieniewicza musi wzbudzić fakt, że stanowi ona pierwszą w literaturze polskiej próbę systematycznej analizy wszystkich problemów związanych z ekspansją zamorską, polityką kolonialną, kolonializmem, oraz ich związkami z tak interesującymi dziś wszystkich kwestiami jak zacofanie Trzeciego Świata, relacje między Północą a Południem itp.

Jakie jednak wątpliwości może budzić książka Kieniewicza? Otóż generalnie zaliczyłbym je do trzech kategorii. Pierwsza to terminologia autora i definiowanie użytych w tekście terminów. Druga to przedstawiająca czasem sporo do życzenia jasność tłumaczenia ważnych dla toku rozumowania zjawisk, zdarzające się skróty myślowe i przeskoki w rozumowaniu, co w połączeniu z trudnościami terminologicznymi na pewno nie ułatwia recepcji książki. Trzecia na koniec sprawa to pewna ilość sądów i stwierdzeń, co do których można mieć wątpliwości. Czasem dla zasadniczego toku wyводу nie mają one większego znaczenia, w innych jednak miejscach zakwestionowanie ich może mieć poważniejsze skutki dla całości systemu. Poniżej postaram się przedstawić te uwagi zgodnie z powyższym schematem, niech mi jednak czytelnik wybaczy, że nie będę tak dokładny i systematyczny w podziale uwag jak Kieniewicz w książce.

Zacznijmy od sprawy pierwszej. Obawiam się, że nie tylko mnie samemu

liczne przyjęte przez autora terminy wydają się mylące czy budzące zupełnie niewłaściwe skojarzenia. Wywołuje to nie tylko zamęt terminologiczny, ale stwarza możliwość pomyłek i nieporozumień. Przykład: autor pisze — „Do klasy stanów stacjonarnych zaliczam społeczeństwa rozwijające się samodzielnie i zrównoważone ekologicznie. — — Społeczeństwa rozwijające się samodzielnie, ale ekologicznie niezrównoważone należą do stanów postępowych” (s. 28).

Otóż wydaje mi się, że określenie „stan stacjonarny” zbyt kojarzy się ze statycznością, brakiem dynamizmu, co na pewno nie leżało w zamierzeniu autora. Dla odmiany określenie „ekologicznie niezrównoważone” instuicyjnie, mimo woli, kojarzy się z czymś złym, podczas, gdy jak widać, chodzi jednak o „stan postępowy”, czyli w potocznym rozumieniu „coś właściwego”.

Podobnych przykładów nieliczenia się z normalnymi przecież przyzwyczajeniami czytelnika dzieł humanistycznych, z podstawowymi zasadami psychologii czytelnika, jest w książce dużo więcej. Widać to choćby w sposobie używania pojęcia „społeczeństwo zacofane”. Jest on zasadniczo odmienny w stosunku do tego, co spotyka się w całej naszej literaturze. Autor zresztą i pod innym względem nie ułatwia zadania czytelnikowi. Naprawdę trzeba dużo przeczytać, aby ostatecznie upewnić się, co autor uważa, a czego nie uważa za „konkwistę”. Również niektóre definicje budzą wątpliwości. Autor pisze: „Pozbawienie korzyści rozumiem tutaj przede wszystkim jako powstawanie ubytków organizacji, co osiągało za sobą naruszenie struktury i zagrożenie tożsamości lokalnego systemu społecznego” (s. 162). Słowo „korzyść” rozumie się najczęściej tak, jak w języku kupieckim. Czyżby tego typu korzyść dla kolonializmu europejskiego i eksploatacji nie miała żadnego znaczenia i można było ją pominąć? Sprzeciw budzi też takie stwierdzenie definiujące: „Obszar podporządkowany stawał się kolonią dopiero wtedy, gdy jego społeczeństwo stawało się zacofane” (s. 186). Pomijam już swoiste rozumienie terminu „społeczeństwo zacofane”, ale jak widać i pojęcie „kolonia” ma dla Kieniewicza inny sens pojęciowy niż w całej dostępnej nam literaturze! Nie ułatwia czytania również zastępowanie starych, dobrze zrozumiałych pojęć takich jak „tradycjonalizm”, „konserwatyzm”, terminami rodzaju: „struktura utrudniająca przepływ informacji w obrębie systemu” (s. 228).

No i na koniec kluczowe w pracy pojęcie — „kolonializm”. Można przeczytać większość rozdziałów książki i dowiedzieć się jedynie, czego autor nie rozumie pod tym terminem. Momentami wydaje się nam, że już wiemy o co chodzi, ale zaraz przychodzi rozczarowanie. Gdy ostatecznie dowiadujemy się, że chodzi tu o postawę społeczeństw godzących się na stosunek zależny, mamy wątpliwości, gdyż w tym kontekście słowa „kolonializm” brzmi dla nas sztucznie. Czy bowiem taką postawę spotyka się jedynie w społeczeństwach kolonialnych? Poza tym w ten sposób autor pozbawił termin „kolonializm” najbardziej naturalnego znaczenia. Jak bowiem nazwie on wszystko co łączy się z koloniami, ich eksploatacją, tworzeniem ideologii kolonialnej, tworzeniem odpowiednich postaw w krajach europejskich względem ludów kolonizowanych? Na koniec trudno pohamować się od zadania zasadniczego pytania — czy wprowadzanie zamętu pojęciowego w książce, która jako pierwsza w Polsce systematyzuje ważne problemy, było konieczne?

Kieniewicz jest mistrzem precyzji słowa, ale w niektórych miejscach jego sposób wyrażania się jest zbyt lapidarny i jego rozumowanie nie jest dostatecznie dla czytelnika zrozumiałe. Np. „konkwista” jest dla autora przykładem ekspansji przedkolonialnej, ale dowodzenie tego jest dalekie od przekonującego. Czytelnika więcej uderzają podobieństwa tej ekspansji do późniejszych, niż różnice. Gdzie indziej pisze: „Wyprawa była zjawiskiem typowo europejskim. — — Wy-

jątkowość zjawiska wynikała niewątpliwie ze świadomości wychodzenia poza granice własnego świata, z konieczności prowadzącej prędzej czy później do konfliktu". (s. 48). Bardzo to kateryczne stwierdzenie. A przecież wiele wskazuje na to, że i u innych ludów mieliśmy do czynienia z wyprawami cechującymi się świadomością wychodzenia poza granice własnego świata. Trudno naprawdę cytować wszystkie fragmenty książki w których autor wymaga naprawdę dużej dozy dobrej woli od czytelnika, jeśli ten ma się zgodzić z proponowanym przez Kieniewicza rozumowaniem (np. ss. 27, 69, 98, 109, 147, 153, 154, 155, 174, 186, 201, 229, 240, 253, 254, 283). Głębokość widocznych w książce przemyśleń więcej niż sama erudycja autora budzą autentyczny podziw nieuprzedzonego czytelnika. Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę z tego, że objęcie jednym systemem teoretycznym zjawiska rozciągającego się na pięć kontynentów i parę stuleci nie jest zadaniem łatwym. Wiedza autora ma naturalnie swe mocniejsze i słabsze punkty. O ile to, co pisze o Ameryce Łacińskiej i Azji wydaje się być oparte na doskonałej znajomości terenu, to nie wszystkie stwierdzenia jego w odniesieniu do Afryki czy Oceanii są w pełni słuszne. Poza tym trudno oprzeć się wrażeniu, że Kieniewicz lepiej się czuje we wczesnym etapie ekspansji europejskiej niż w końcu XIX i na początku XX wieku. Przejdźmy jednak do szczegółów.

Moje wątpliwości budzi konstatacja, że podróżnicy europejscy w XIX w. byli tylko (podkr. moje — M.C.) narzędziem nowych sił (s. 59). Masową emigrację z Europy autor datuje na początek XX w. (s. 65), podczas gdy wiadomo, że w krajach najbardziej zaangażowanych w ekspansję kolonialną największe nasilenie emigracji wypadło dużo wcześniej i emigracja ta wpływała na propagandę kolonialną już w latach 70-tych XIX w.!

Stwierdzenie, że „na początku ekspansji zamorskich przedstawiciele Europy byli zwykle zbyt słabi, aby osiągać swe cele inaczej niż przewagą” (s. 69), jest w odniesieniu do krajów, które ekspansję zaczynały w XIX w. nieściste, nie mówiąc już o tym że w ogóle wydaje mi się nielogiczne i nieprawdziwe. Mylne jest przekonanie autora, który zaprzecza jakoby europejskie panowanie nad światem w XIX w. wynikało z obawy przed rywalami (s. 91). Wystarczy zapoznać się z ówczesną publicystyką świetnie oddającą nastroje w poszczególnych krajach, aby być wręcz pewnym, że było odwrotnie, że czasem można mówić o krokach spowodowanych paniką na skutek postępów rywali. Posunięcia angielskie w Nigerii, Beczuanie, Nowej Gwinei, czy niemieckie w Kamerunie, archipelagu Bismarcka, na Samoa, to tylko niewielka część przykładów, które możnaby tu wymienić. Nie wydaje się też słuszne stwierdzenie, że „kontakt” w II połowie XIX w. traci na znaczeniu, a świat dzieli się w gabinetach (s. 97). To, co dzieje się w gabinetach z reguły musi być oparte o wcześniejszy kontakt!

Autor pisze o finansowaniu z wpływów podatkowych inwestycji w dziedzinie infrastruktury (s. 146). Przykład ten na pewno jest prawdziwy w Indiach, ale w Afryce, zwłaszcza na początku budowy kolei, mógł być tylko wyjątkiem. A swoją drogą szkoda, że autor nie dostrzegł znaczenia podatków w całym bogactwie powodów z jakich były one w koloniach wprowadzane. A przecież na jednych terenach chodziło tylko o symbol uznania obcego zwierzchnictwa, a na innych o zmuszenie ludności miejscowej do pracy na plantacjach.

Otmawiając tzw. system upraw przymusowych (zwany czasem „systemem kultur”) stosowany w Holenderskich Indiach Wschodnich autor uważa, że te formy aktywności gospodarczej „— — były świadectwem słabości związków ze światem gospodarczym metropolii, niedostatku mechanizmów ekonomicznych zdolnych do przebicia się przez mechanizmy obronne lokalnych systemów” (s. 147). Słabością powyższego rozumowania wydaje mi się to, że autor ani słowem nie

wspomina o rzeczy najistotniejszej — dążeniu do pozyskania pożądaných w Europie produktów bardzo tanio, co pozwalało je sprzedawać z olbrzymim zyskiem. Taką ilość herbaty za tak niską cenę można było uzyskać tylko przymusem. Co tu mówić o mechanizmach gospodarczych, czy słabości związków ekonomicznych!

Nie jestem pewny, czy można zgodzić się z Kieniewiczem, gdy pisze: „— — aktywność bezpośrednia wiązała się zawsze z tworzeniem nowych form organizacji produkcji” (s. 153). Wszystko zależy co rozumie on pod swoimi słowami. Warto jednak przypomnieć, że w Afryce jeszcze w końcu XIX w. często wykorzystywano dotychczasowe formy organizacji produkcji, a ograniczano się do nowych form pozyskiwania (podkr. moje — M. C.) tych produktów. Widać to najlepiej w przypadku oleju palmowego czy kauczuku w Afryce równikowej.

Sformułowania autora dotyczące dostaw surowców kolonialnych mogą mylić czytelnika (s. 157). To prawda, jak twierdzi Kieniewicz, że w większości wypadków nie chodziło o duże ilości tych surowców. Jednak trzeba by wspomnieć również o tym, że niektóre z nich zaczynają być ważne dla Europy jeszcze w XIX w. Gwałtownie przecież rosło zainteresowanie Europy takimi surowcami jak olej palmowy, kauczuk, kopro, nie mówiąc już o tytoniu, kakao, kawie i innych używkach wykorzystywanych w przemyśle spożywczym, a zwłaszcza o bawełnie do której produkcji w koloniach przywiązywano szczególne znaczenie. Przemysłowcom wielu krajów zależało nie tyle na masowych dostawach z kolonii, co na złamaniu monopolu dotychczasowych producentów, gdyż pozwoliłoby to w perspektywie na uzyskanie istotnych obniżek cen!

Zbyt apodyktycznie brzmią zdania autora dotyczące wprowadzanych przez kolonizatorów nowych form produkcji. Autor pisze: „— — nowe formy organizacyjne przyniosły zdecydowaną poprawę sytuacji zatrudnionych. Wydaje się to dosyć oczywiste w przedsiębiorstwach przemysłowych, a być może dotyczy to również innych sektorów produkcji” (s. 158). Zadziwia fakt, że Kieniewicz, który w tylu miejscach książki przestrzega przed zbyt europocentrycznym sposobem widzenia, tu jakby uległ propagandzie kolonialnej! Przecież aby się zgodzić z powyższym zdaniem trzeba by milcząco założyć, że sposób życia oparty o narzucone przez Europejczyków wzory musiał być lepszy od tradycyjnego. Czyż jednak relacje z kopalń południowoafrykańskich, z plantacji niemieckich w Kamerunie i Tanganice, z Wolnego Państwa Kongo, nie przeczą tej teorii? Trudno zresztą zrozumieć logikę autora, bo o stronę dalej sam sam pisze o bardzo brzemiennych w skutki konsekwencjach wprowadzania nowej organizacji pracy.

Więcej mam wątpliwości w innej kwestii. Zdaniem autora momentem zwrótnym w tworzeniu systemu kolonialnego było odejście od merkantylizmu do leseferyzmu (s. 180). Zdaniem wielu historyków (do których opinii i ja się przychyliam) rzecz przedstawiała się inaczej. To odejście od zasad wolnego handlu i tendencja tworzenia zamkniętych obszarów celnych stanowiła moment przelomowy, gdyż zaczęto się obawiać, że konkurenci podzielą świat między siebie.

Kategoryczne zdanie: „Kolonie uformowały się w następstwie supremacji interesów władzy państwowej nad interesami lokalnymi i grupowymi związanymi dotąd z obszarem podbitym” (s. 184) dla każdego historyka kolonializmu niemieckiego, a obawiam się, że nie tylko, brzmi zupełnie fałszywie. Trudno mi też uwierzyć w stwierdzenie: „W początkach brytyjskiej ekspansji kolonialnej utrwalanie oznaczało rozbudowywanie administracji, która miała gwarantować samofinansowanie handlu” (s. 185), gdyż przykładowo w koloniach niemieckich kupcy uważali rozbudowę administracji raczej za przeszkodę niż pomoc w swej działalności.

Czy prawdziwe jest inne kateryczne zdanie: „Stopniowa redukcja suwerenności krajów pozaeuropejskich okazała się niezbędna dla działalności przedsiębiorców, kupców, żeglarzy, misjonarzy i podróżników” (s. 191)? Gdyby autor użył określenia „uznawano” zamiast „okazała się”, można byłoby się z nim zgodzić.

Kieniewicz przejął z nowszej literatury zachodniej pogląd, że społeczeństwa poddane ekspansji kolonialnej jakby do niej zachęcały (s. 183). Aczkolwiek i takie przypadki się zdarzały, wydaje mi się, że trudno uznać je za regułę.

Po przeczytaniu tak długiej listy uwag szczegółowych możnaby dojść do wniosku, że recenzent ma względem książki poważne zastrzeżenia. Tak jednak nie jest. Autor podjął się zadania prawie nadludzkiego. Stworzył bardzo interesujący system. Wobec nowatorstwa jakiego świadomie się podjął, trudno zastrzeżenia wyrażać w formie katerycznej, tym bardziej, że nie zawsze jest się pewnym, czy się do końca zrozumiało autora. Nie wykluczam możliwości, że niektóre z uwag wynikają właśnie z takiej sytuacji. Wiele szczegółów autor będzie mógł skorygować w ewentualnym drugim wydaniu. Równocześnie jednak dzieło Kieniewicza nie tylko podsumowuje pewien krąg ważnych nie tylko dla historii, ale i dla współczesności zagadnień, ale prostuje wiele błędnych nie tylko w publicystyce, ale i w podręcznikach poglądów. Przykładowo bardzo słusznie zwraca uwagę na to, że celem kolonii dużo częściej było gwarantowanie metropolii korzyści na przyszłość, niż natychmiastowa użyteczność gospodarcza. Na pewno też ma rację, gdy pisze, że podbój w skali światowej nie był koniecznością i że większość kolonii miała dla Europy niewielkie znaczenie gospodarcze. Najciekawsze wydają mi się uwagi dotyczące mechanizmów kolonializmu w Indiach. Czasem odnosiłem wrażenie, że to tamtejsze przykłady zaciążyły na całym sposobie widzenia problemów kolonializmu przez autora.

Sumując — jest to książka bardzo cenna, choć na pewno nie dla każdego czytelna.

Marek Czapliński

Jerzy Kłoczowski, Lidia Müllerowa, Jan Skarbek, *Zarys dziejów Kościoła katolickiego w Polsce*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1986, s. 470.

Książki na ten temat, mniej więcej takiej objętości nie posiadaliśmy dotąd. Jerzy Kłoczowski zwraca uwagę we „Wstępie” na przedwojenną „Kirchengeschichte Polens” K. Völckera, oraz dziwi się, że „nikt z polskich historyków tamtej generacji nie zdobył się na podobne dzieło”. Nazywa to wręcz „skandalem okresu międzywojennego” (s. 9). Zaniedbanie nadrobione zostało dopiero w PRL, oczywiście pod wpływem wyzwania ze strony historyków niechętnych Kościołowi lub obojętnych na sprawy wyznaniowe. Koniunktura ostatnich lat przyniosła pod tym względem kilka inicjatyw nierównej wartości. Zrodziły się więc na KUL dwa tomy rozpraw pt. „Kościoł w Polsce”, doprowadzone tylko do rozbiorów. Alumnom seminariów dano do rąk czterotomowy podręcznik „Historii Kościoła w Polsce”. Poszła też w świat (1980) książeczka „Chrześcijaństwo w Polsce”, zredagowana przez Jerzego Kłoczowskiego z myślą o cudzoziemskim czytelniku. Niniejszy „Zarys” obszerniejszy a jednak poręczny, został adresowany do świeckiego, niekoniecznie nawet chrześcijańskiego czytelnika. Chce on stać się uzupełnieniem mnożących się dziś syntez historii Polski, w których problem religii traktowany bywa zdawkowo, albo niezyczliwie.

Jerzy Kłoczowski ma duże zasługi, jako organizator badań historii Kościoła na KUL, wychowawca specjalistów w tej dziedzinie oraz propagandysta osiągnięć ich